

Bukowiecki, Henryk

55 lat Zakładu Botaniki Farmaceutycznej w Warszawie

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 22/4, 833-844

1977

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Henryk Bukowiecki
(Warszawa)

55 LAT ZAKŁADU BOTANIKI FARMACEUTYCZNEJ W WARSZAWIE

1. WSTĘP

W 1972 ukazała się w druku *Botanika Farmaceutyczna* Mirosławy Furmanowej i moja — dedykowana dwu moim nauczycielom: profesorom Stanisławowi Wisłouchowi i Antoniemu Ossowskiemu. Godzi się i to wspomnienie ich pamięci poświęcić. *De eis fabula narratur*. Będzie to narracja, oparta na wybranych faktach z życia Zakładu w okresie lat 55 (od 1921 do 1976), dotychczas niepublikowanych.



2. OKRES I (1921—39)

W odrodzonym polskim Uniwersytecie Warszawskim — w 1916 — naprzód kreowana była Katedra Farmakognozji. W pięć lat później przekształcono ją w podwójną Katedrę Farmakognozji i Botaniki Lekarskiej, której kierownikiem aż do śmierci w 1933 był profesor Władysław Mazurkiewicz, pierwszy dziekan Wydziału Farmaceutycznego.

Ryc. 1. Henryk Bukowiecki jako prodziekan Wydziału Farmaceutycznego
AM

W latach poprzedzających powstanie Zakładu, czyli w 1916—1921 botanikę dla farmaceutów wykładał znakomity anatom-cytolog Zygmunt Wóycicki. Był on bardzo wymagającym profesorem. We wspomnieniach zachowało się takie wydarzenie. Pewnego razu, podczas wycieczki flo-

rystycznej do Młocin, zażądał od studentów, aby mu dostarczyli *Orchis maculata*, a było tam na torfiastej łące dużo storczyków. Cóż z tego! Wszystkie, zebrane przez studentów storczyki, należały do innego, bardzo pospolitego gatunku, *Orchis latifolia*! Uczestnicy wycieczki byli zdesperowani, bo już głód im dokuczał i zmierzchać się zaczęło. Wtedy asystent Profesora poradził, aby łodygę w *Orchis latifolia* po prostu zatkać jakimś źdźbłem. (*Orchis maculata* winien mieć łodygę pełną w przeciwieństwie do *Orchis latifolia*). Profesor udał, że nie zauważył podstępu, tylko uśmiechnął się zagadkowo. Studenci odzyskali humor i prawo powrotu do domu.

W latach 1921—25 botanikę wykładał docent Jan Marian Dobrowolski, uczeń Mariana Raciborskiego, inspektor Ogrodu Farmakognostycznego, późniejszy wieloletni profesor i dziekan Wydziału Farmaceutycznego w Poznaniu; następnie do 1927 docent Stanisław Wisłouch, później do 1933 docent Antoni Ossowski, wreszcie do 1939 (koniec okresu I) doktor Henryk Bukowiecki.

Docent Dobrowolski był doskonale zorientowany w podstępach studentek. Razu pewnego podczas egzaminu póty szukał ukrytej za szafą planszy z woreczkiem zalążkowym, póki jej nie znalazł. Winowajczyni, na pytanie, dlaczego to zrobiła, odpowiedziała: „Kiedy przychodzi do zapłodnienia, tracę głowę”.

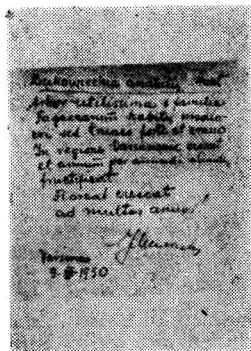
Stanisław Wisłouch mówił niezwykle pięknie: jasności wykładu odpowiadała elegancja jego formy. Docent Ossowski sprawiał wrażenie Anglika. Wykład jego był ścisły, bardzo starannie napisany i dobrze, choć cicho, wygłoszony. Żaden z mych nauczycieli nie skaził swej mowy barbaryzmami w rodzaju „pielęgnacji”; wszyscy oni mówili poprawnie o pielęgnowaniu roślin. (Pielęgnowanie jest słowem polskim, nie może więc kończyć się na „cja”, jak słowa łacińskie).

Docent Wisłouch dobierał do ćwiczeń mikroskopowych materiał roślinny klasyczny, typowy w przeciwieństwie do Antoniego Ossowskiego, który z początku starał się wprowadzać do ćwiczeń niektóre surowce farmakopealne nawet o nietypowej budowie. Jan Marian Dobrowolski prowadził wycieczki florystyczne nieutrudzające, np. do Czerska, gdzie popas i określanie roślin wypadły w ruinach Zamku Książąt Mazowieckich. Moją zdobyczą była wtedy okrzętna bagienna, *Hottonia palustris* (Primulaceae). Wycieczki docenta Wisłoucha były inne: nie myślał on oszczędzać studentów ani siebie. Dobrze dały się nam we znaki wielogodzinne, wspólne ćwiczenia w oznaczaniu roślin według nowego wówczas klucza Szafera, Kulczyńskiego i Pawłowskiego. Docent Ossowski wymagał od studentów własnych zbiorów zielnikowych. Przez długie lata i ja tak robiłem ze szkodą szaty roślinnej okolic Warszawy i uszczerbkiem ogrodów: botanicznego i farmakognostycznego.

Ostatniemu z nich garść wspomnień teraz poświęcę. Położony on był na skarpie uniwersyteckiej, u podnóża Pałacu Kazimierzowskiego. W połowie XVII wieku rosły w nim pomarańcze, cytryny, figi, kasztany jadalne, uprawiano warzywa, hodowano nawet tytoń. Pisze o tym w swym *Gościńcu* z 1643 Adam Jarzębski, muzyk i architekt nadworny. Ogród pałacowy, kazimierzowski świetnością dorównywał niemal ogrodowi królewskiemu w Paryżu, później uległ zaniedbaniu. Dopiero w 1811 r. staraniem S. Staszica został podniesiony z upadku, na krótko zresztą. Pod koniec I wojny światowej profesor Wł. Mazurkiewicz przywrócił ogrodowi charakter akademicki. Ogród ten jako

farmakognostyczny przetrwał do 1973. Ale są po nim ślady: na skarpie zachowały się stare drzewa i ścieżki, biegnące w zakosy według projektu Władysława Szafera z 1916 r. Dziś skarpa jest niefortunnie oddzielona siatką drucianą od górnego tarasu, na którym stoi Pałac Kazimierzowski (dawna Villa Regia). Studenci nie mają dostępu do dawnego ogrodu, a niegdyś zaglądali tu chętnie. Pamiętam skargę asystentki ogrodowej, że dozorca pozwala młodzieży całować się. Przywołany przed oblicze profesora Mazurkiewicza starowina tłumaczył się, że nie może zwracać uwagi studentom, bo to „ślachta”. Sytuacja była zabawna, profesor z trudem powstrzymał się od śmiechu. W dawnym Ogrodzie Farmakognostycznym miewałem często wykłady, prowadziłem do niego wycieczki co tydzień. Studenci uczyli się z zapalem (bywały niechlubne wyjątki). Nie mogłaby więc zdarzyć się u nas przygoda, o której opowiadał mi mój stary przyjaciel, Franciszek Sędzicki, poeta kaszubski, swego czasu kustosz biblioteki w Gdańsku. Przed laty zwrócił się on do swego znajomego aptekarza, o przetłumaczenie na polski niektórych etykiet ogrodowych: łacińskich i niemieckich. Okazało się jednak, że samozwańczy profesor myli dęby z klonami i odwrotnie. Często powtarzałem mym uczniom: „Nie bądźcie jak ów aptekarz z opowieści Sędzickiego. Nie wolno wam popełniać grubych błędów w botanice czy geografii albo historii. Ludzie wnet się poznają na waszym nieuctwie”. Z Ogrodu Farmakognostycznego nigdy nie brałem roślin do egzaminu praktycznego. W przeddzień wyjeżdżałem za miasto po gatunki, które w ogrodzie nie rosły. Jeden ze studentów umyślił podejść mnie. Wypełnił gruby brulion roślinami ogrodowymi. I zawiódł się okropnie, bo żadna roślina z jego zielniczka nie odpowiadała okazowi egzaminacyj-

Ryc. 2. Zartobliwa diagnoza gatunku *Bukowieckia amabilis*
Auct. pióra prof. Jana Muszyńskiego, napisana podczas
bankietu po zjeździe naukowym w 1950 r.



nemu. Pot kapał mu z czoła na arkusz. Po 2 godzinach męki poddał się. Dałem mu ocenę niedostateczną (nie stawia się stopni, bo się je daje, podobnie nie stawia się kropli, lecz się ją kładzie tak, jak podpis). Wracam do niefortunnego egzaminu. Krytycznym okazem rośliny był dorodny kąkol, zebrany przeze mnie pod Bielanami. Nie ma gatunku łatwiejszego do oznaczenia według klucza. Ale mój student wolał użyć swego wynalazku. Lekcja dla niego była bolesna, dla mnie nad wyraz przykra, ale okazała się pożyteczna. Mój bohater, którego później spotkałem zagranicą, wyrósł na tegoż pracownika naukowego. (Zdarza się, że asystenci podpowiadają studentom, nawet nie podejrzewając, jak bardzo niszczą młode charaktery. Ale też potem ci ich wychowankowie nie szanują swych dobrodziejów). Można sądzić, że na początku lekko

potraktowałem oszukańczy żart studencki z zamianą *Orchis latifolia* w *Orchis maculata*. Ależ tam był tylko żart i to zupełnie wyjątkowy, bo nigdy się już nie powtórzył. Przy sposobności powiem, co zdarzyło się niegdyś w Berlinie. Monograf rodzaju *Viscum* (jemiola), baron von Tubeuf, zauważył na wystawie przyrodniczej okaz jemioly na gałęzi robinii akacjowej, objaśniony jako przykład jemioly na dębie (to byłaby wielka osobliwość!). Zagadka szybko była rozwiązana: organizator wystawy, naiwny profesor, zaufał asystentowi, ten zaś dał się wywieść w pole studentowi. Na Wydziale Weterynaryjnym UW i ze mną próbowano tej sztuczki. Ale się nie gniewałem, bo cóż by to była za młodzież bez skłonności do figlów? Rósł w Ogrodzie Farmakognostycznym (i dziś jeszcze rośnie) buk, *Fagus sylvatica*, który dawał okazję do podejmowania kwestii pochodzenia nazwisk polskich i nazw miejscowości od drzew rodzimych. Miłe były *colloquia sub tegmine fagi*. Jak już wspomniałem, Ogród Farmakognostyczny przestał istnieć w końcu 1973 r. Wtedy zburzono mur ogrodowy od ulicy Browarnej, dolny taras splantowano i posiano trawę. Do dziś nowego Ogrodu Farmakognostycznego nie ma. Jedyną dla nas ostoją pozostał uniwersytecki Ogród Botaniczny, którego całości także musimy bronić.

Wejdźmy wreszcie do pierwszej siedziby naszego Zakładu, do nieistniejącego już dziś gmachu pokuratorskiego. Był to pałacyk, dawna rezydencja kuratora okręgu naukowego warszawskiego. Na piętrze pałacyku pokoje były piękne, wysokie do 5 m. Gabinet profesora był duży, przyozdobiony stylowym kominkiem. Z gabinetem sąsiadowały dwie obszerne sale dla doktorantów. Okazała była sala muzealna o bardzo pięknym parkiecie (niegdyś był tu salon kuratora). Sala ćwiczeń, powstała przez wyjęcie ściany między dwiema sypialniami kuratorstwa, liczyła 8 okien; powierzchnia jej wynosiła 110 m². Kiedy zaczęto przyjmować na I rok po 70 studentów, zrobiło się ciasno. Mimo tej ciasnoty można było w niej ustawić krąg z odziomka (dolnej części pnia) *Larix polonica* czyli modrzewia polskiego. Odziomek ten był moją zdobyczą z Modrzewiny, rewiru leśnego w Małej Wsi Lubomirskich pod Grójcem. Zarządca lasów książęcych, p. Świerczyński, dostarczył ten krąg do Warszawy. Krąg liczył 168 stojów. Drzewo było ścięte na klepki do Gdańska w 1936 r. Pierwszy więc słój pochodził z roku 1768 (czwarty rok panowania Stanisława Augusta). Za radą profesora Ossowskiego, a według znanych mi wzorów z muzeów botanicznych Paryża, Berlina i Londynu, posłużyłem się tym kręgiem jako kalendarzem ważnych wydarzeń historycznych z dziejów kraju, uniwersytetu i wydziału. Zainteresowanie budził słój z roku 1812 czyli „roku urodzaju”. Rzeczywiście ten słój był nieco szerszy od sąsiednich. Blisko obwodu kręgu odnaleźliśmy słój z roku 1926, kiedy powstał samodzielny Wydział Farmaceutyczny. Szkoda tego kręgu, bo już dziś nie zdobędziemy podobnego okazu: przestaliśmy — na szczęście — handlować pomnikami przyrody w Polsce Ludowej. Nie mniej niż odziomka modrzewiowego żał mi bardzo pięknej kolekcji planszy barwnych, anatomicznych, wspaniale wykonanych przez rysownika zakładowego, pana magistra M. Egiersdorffa. W tej sali ćwiczeń po raz pierwszy zobaczyłem pod mikroskopem mitozę i w różnych stadiach rozwoju woreczki zalążkowe.

Z salą muzealną, wspomnianą już przedtem, wiąże się ważne wydarzenie. Tutaj właśnie profesor Mazurkiewicz podejmował rektora, senat i wydział z okazji pierwszego u nas doktoratu farmaceutycznego,

uzyskanego 9 lipca 1927 przez Antoniego Ossowskiego. Z salą muzealną sąsiadowała biblioteka o 3000 tomów dzieł specjalnych i czasopism.

W piwnicy pałacyku zainstalowana była duża chłodnia typu amoniakalnego na potrzeby badań, prowadzonych przez profesora Mazurkiewicza. W tymże podziemiu była żabiarka z kilkuset żabami do prostszych ćwiczeń farmakodynamicznych w czasach, gdy jeszcze profesor Jerzy Modrakowski nie objął zajęć z farmakodynamiki dla naszych studentów. Wykorzystane także było poddasze, gdzie zorganizowaliśmy dobrą pracownię fotograficzną według wzorów eastman'owskich czyli kodakowskich. Na parterze pałacyku były pracownie: docenta, inspektora ogrodu i adiunkta. Korytarzem między tymi pracowniami było przejście do sali wykładowej, mieszczącej się w przybudówce o osobnym wejściu dla studentów.

W sali wykładowej odbywały się także posiedzenia Towarzystwa Popierania Nauk Farmaceutycznych „Lechicja”. (Nazwa miała wskazywać, że Towarzystwo jest kontynuacją dawnej polskiej korporacji farmaceutycznej „Lechicja” w Dorpacie czyli w dzisiejszym Tartu). W wydawanych przez Towarzystwo „Rocznikach Farmacji” drukował swą rozprawę doktorską *O powstawaniu olejków, balsamów i żywic* wspomniany Antoni Ossowski. Była rzeczą niezwykle ważną, że pierwsza dysertacja miała wysoki poziom naukowy, wносиła bowiem do nauki istotne, nowe wartości. Nie do pomyślenia było, aby praca doktorska — jak to się zdarza tu i ówdzie — była tylko zmodyfikowanym powtórzeniem cudzych badań, różniącym się od oryginału jedynie materiałem doświadczalnym.

W tychże „Rocznikach” publikował swą rozprawę habilitacyjną Jan Marian Dobrowolski na temat *Pogostemon patchouli* (Labiatae). Rozprawa habilitacyjna Antoniego Ossowskiego o rodzinie południowoafrykańskiej Aizoaceae również ukazała się w „Rocznikach”. Redaktorem do śmierci w 1927 był Stanisław Wisłouch, algolog i mikrobiolog, wsławiony badaniami bakterii siarkowych z rodzaju *Thiospira Vislouch*, do dziś figurującego u Bergeya w *Manual of Determinative Bacteriology*. Prezes Polskiego Towarzystwa Botanicznego, Bolesław Hryniewiecki, ubolewał, że wielki uczony, Wisłouch, nie doczekał się katedry. Wykładał on u nas hydrobiologię sanitarną i botanikę farmaceutyczną.

Twórca i organizator podwójnego Zakładu profesor Mazurkiewicz, umierając w 1933, pozostawił na katedrze swego wybitnego ucznia, Antoniego Ossowskiego, który z kolei dożył tylko do początku drugiej wojny światowej, ginąc od bomby lotniczej 9 września 1939 w Lublinie.

Nadeszła chwila, kiedy wreszcie winienem opisać niełatwe dzieje mego doktoratu. Pierwszy temat, wskazany mi przez profesora Mazurkiewicza, był niezwykle trudny. Chodziło o zjawiska, poprzedzające śmierć komórki roślinnej. Miałem odpowiedzieć na pytanie, czy zjawiskom tym towarzyszy skok temperatury (bardzo nieznaczny), obserwowany u niektórych owadów? Z Zakładu Fizyki Doświadczalnej UW wypożyczyłem galvanometr, uzyskałem dwumetalowe czujniki termoelektryczne (termopary), ale miały one zbyt wielkie rozmiary, aby można je było stosować do punktowego pomiaru temperatury. Dzisiejsza technika pomiarowa umożliwia już precyzyjny zapis temperatury. Są to półprzewodniki. Tego wszystkiego wówczas nie było. Miałem mierzyć subtelne zmiany temperatury podczas procesu uśmier-

ciania komórki przez zamrażanie. Pracowałem zimą w nieopalonej szklarence, kostniałem z chłodu. Trzeba było zrezygnować. Drugi temat, także wskazany mi przez profesora Mazurkiewicza, dotyczył zjawisk fizyko- i biochemicznych, towarzyszących autoradiografii i bioluminescencji. Przeszedłem specjalne przeszkolenie u pani docent A. Dorabialskiej w pracowni W. Świątosławskiego. Temat był nie na moje siły. Zresztą i profesor nie mógł go udźwignąć. Profesor Mazurkiewicz unikał tematów banalnych. Swego czasu naraził się na drwiny marszałka Piłsudskiego, że zajmuje się badaniem cynamonu. A prawda była taka, że profesor zebrał największą kolekcję kor cynamonowych (w rodzaju *Cinnamomum* jest 256 gatunków) i zbadał je anatomicznie. Była to cenna monografia, drukowana w „Rozprawach Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego AU” w Krakowie. Polecenia profesora starałem się wypełniać najuczciwiej. Wstręt do kłamstwa i wrodzone poczucie dyscypliny nie pozwoliły mi go zwodzić w przeciwieństwie do jednego z kolegów, który wprost chwalił się umiejętnością dokonywania „poronień” planów profesorskich.

Nowy od 1933 kierownik Zakładu, Antoni Ossowski, przyznał się otwarcie, że tematów poprzednika nie potrafi kontynuować. Zaproponował mi w zamian monografię gatunku podolskiego, *Helleborus purpurascens* W. et K., prawie nieznaną ludowej rośliny leczniczej. Natychmiast przystąpiłem do tej pracy. Po 4 latach wyczerpujących studiów monografia została opracowana. Latem 1937 we Lwowie podczas XV Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich wygłosiłem referat o rozmieszczeniu geograficznym, morfologii i składzie chemicznym tego gatunku. Rozwinięcie referatu w obszerną rozprawę (92 strony druku) zajęło mi ponad rok. Dopiero w 1939 w „Acta Poloniae Pharmaceutica” ukazała się moja dysertacja, pozytywnie oceniona przez międzynarodowe, wydawane w języku niemieckim czasopismo „Botanisches Centralblatt”.

Pracę doktorską wykonywałem jednocześnie z zajęciami dydaktycznymi (5 godzin tygodniowo wykładów przez cały rok oraz ćwiczenia w wymiarze 10 godzin, ponadto wycieczki florystyczne). To wyróżnienie mnie przez profesora i związane z tym wysokie pobory sprawiły, że wnet odezwali się zazdrośnicy. *La jalousie de métier*. Poza moimi plecami zarzucano mi brak umiejętności. Ale profesor nie dawał wiary plotkarzom i miał do tego podstawy. Śmieszyło go i mnie, że uparcie ponawiano wciąż ataki „mal à propos”, co nam przypominało „mal-à-propisme”, wykpiony już przez Sheridanana w jego znakomitej *School of scandals* czyli w *Szkole plotek*. Z całej tej historii morał taki: nie należy ufać plotkarzom, natomiast w każdym wypadku badać słuszność zarzutów; u pracownika naukowego po prostu sprawdzić wyniki. Miałem szczęście, gdyż między moimi zainteresowaniami naukowymi i dydaktycznymi nie było rozbratu. Uczyłem z przyjemnością.

Czekając na druk dysertacji, zajęty byłem dwiema pracami: botaniczno-geograficzną o *Melilotus polonica* i botaniczno-historyczną o łacińskiej *Farmakopei Krakowskiej* z 1683. Materiały, fotografie, pierwsza redakcja tekstów spłonęły w pożarze 25 września 1939. Po raz drugi napisałem te rozprawy już po wyzwoleniu. Praca o *Melilotus polonica* była podstawą mojej habilitacji 11 XII 1945 w Uniwersytecie Warszawskim. Pracę o *Farmakopei Krakowskiej* złożyłem Zjazdowi Polskiego Towarzystwa Botanicznego w Lublinie w 1946; była drukowana

w „Acta Societatis Botanicorum Poloniae”. Prace z wielką biedą można było odtworzyć. Natomiast bezcenne pamiątki zakładowe jak: zbiory jowańskie Raciborskiego, akwalele roślin leczniczych pędzla Stanisława Kulczyńskiego, plansze M. Egierszдорffa zachowały się tylko w mojej pamięci. W wykładach o florze tropikalnej, uciekam się do wspomnień o straconej części zbiorów Raciborskiego. W poszukiwaniu mego „doktorskiego” gatunku (*Helleborus purpurascens* W. et K.) ogromne usługi oddały mi barwne (kolorowane) fotokopie akwareli profesora Kulczyńskiego. Plansze magistra Egierszдорffa pozostały w mych wspomnieniach jako nieprześcigniony wzór precyzji i elegancji. Pisząc o tym, pragnę dać świadectwo dawnej świetności Zakładu.

Zakład istnieje już 55 lat, moja w nim obecność datuje się od 54 lat. Jako student I roku zacząłem pracę w Zakładzie w 1922. W tymże roku wydałem wraz z kolegą Marianem Rostafińskim skrypt litografowany, oparty na wyborze niektórych rozdziałów z ostatniego, nowego wydania *Lehrbuch der Botanik für Hochschulen* Strasburgera. Zajęcia dydaktyczne prowadziłem w Zakładzie przez 40 lat (1933—1973). Byłem i jestem świadkiem rozwoju Zakładu. To nakłada na mnie szczególny obowiązek.

Historię Zakładu dzielę na 5 okresów. Okres I przypada na lata 1921—1939 (18 lat!) w pierwszej siedzibie, w gmachu prokuratorskim, w najbliższym sąsiedztwie Pałacu Kazimierzowskiego. Okres II to dzieje tajnego, nieorganizowanego a później zorganizowanego Wydziału Farmaceutycznego w Warszawie, a pod koniec w Częstochowie (ogółem 6 lat w okresie 1939—1945). W okresie III, obejmującym lata 1945—1954, trwała 9 letnia tułaczka Zakładu, naprzd na Pradze, a później w lewobrzeżnej Warszawie (ul. Kniewskiego 7). Okres IV, trwający 19 lat (od 1954 do 1973) można by nazwać czasem stabilizacji w bardzo trudnych, spartańskich warunkach. Wreszcie okres V to nowa era, datująca się od końca 1973 do dziś.

3. OKRES II (1939—1945)

O tragicznym okresie okupacyjnym i pracy w tajnym nauczaniu pisałem już w „Farmacji Polskiej” i w „Kwartalniku Akademii Medycznej w Warszawie”. Nie będę się więc powtarzał. Przypomnę tylko, że dziekanem tajnego Wydziału Farmaceutycznego w Warszawie był nieustraszony starzec, profesor Bronisław Koskowski; że kancelarię Wydziału prowadziła synowa dziekana, która potrafiła całe archiwum zmieścić w pudełku od zapalek, spoczywającym zawsze na obramieniu kominka, aby w każdej chwili można je było rzucić w ogień. Z obowiązku kronikarskiego muszę wspomnieć, że jeden z kolegów, z naszego grona świetny, młody botanik-geograf, doktor Tadeusz Wiśniewski był rozstrzelany na Solcu w Warszawie. Wisząca nad nami groza czasami mniej dawała się odczuć dzięki pięknej postawie społeczeństwa, bardzo wówczas solidarnego. Co nam przyniosło tajne nauczanie? Przede wszystkim równowagę duchową, następnie 39 dyplomów magisterskich, a mnie i innym tajnym pedagogom rozczulające upominki. Razu jednego dostałem od dziekana Koskowskiego kwitek, upoważniający do odbioru 5 kg buraków z pewnego straganu Za Żelazną Bramą.

4. OKRES III (1945—1954)

Jak wspominałem, okres III zaczął się na Pradze, przy ul. Grochowskiej 272, w zabudowaniach Wydziału Weterynaryjnego. Wykłady odbywały się w audytorium obok stajni, ćwiczenia mikroskopowe — w Zakładzie Bakteriologii. Często zawodziła elektryczność, wówczas posługiwaliśmy się świeczkami łojowymi (po 2 świeczki na mikroskop). Starym zwyczajem nie zaniebdywaliśmy wycieczek florystycznych, które z początku były niezwykle tłumne, liczyły do 300 osób. Gdy uruchomiono inne — poza medycyną i farmacją — wydziały Uniwersytetu, ta fala przyboru opadła. Wznowiono zajęcia na Wydziale Weterynaryjnym, byłem zaproszony do wykładania botaniki weterynaryjnej.

W 1947 przenieśliśmy się na lewy brzeg Wisły, na ul. Kniewskiego (Złota) 7 do lokalu pobayerowskiego, w którym przydzielono nam dwa nędzne pokoje ze świetlikami w suficie. Nie można było ogrzać tego pomieszczenia, bo ciepło od jedyne go piecyka żelaznego czyli tak zwanej „kozy” uciekało świetlikami. W moim pokoju był magazyn spirytusu i zbiór okazów roślinnych, konserwowanych w spirytusie. Z obawy przed pożarem, tego pokoju nie ogrzewałem, chociaż kostniałem z zimą. Czasem ktoś w najlepszej wierze zadrwił ze mnie, pytając przez telefon, czy będą mógł go przyjąć u siebie w gabinecie? A ja gabinetu nigdy w życiu nie miałem; później również nie było gabinetu profesorskiego ani biura z sekretarką. I to dobrze, gdyż musiałem być sprawny i ruchliwy i tę sprawność udało mi się przynajmniej w części zachować. Piszę na maszynie w Zakładzie i domu. Czasem pomaga mi żona, nieoceniona poza tym pierwsza czytelniczka moich prac, nieraz bardzo surowa i wymagająca. Naszą biedę w lokalu pobayerowskim opisano w „Służbie Zdrowia”. Bardzo zgniewało to administrację Akademii Medycznej, bo musiała tłumaczyć się z zaniedbań przed prokuratorem. Pod naciskiem władz nadzorczych przydzielono nam wówczas trzy pokoje z prawdziwego już zdarzenia w głównym budynku Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego przy ul. Długiej 16 (na parterze). Przenosiny odbyły się w styczniu 1955 r.

5. OKRES IV (1954—1973)

Zaczął się dla nas okres IV dziejów Zakładu, trwający najdłużej, bo 19 lat. Za zgodą urzędującego wtedy wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego mogliśmy w godzinach ćwiczeń, zawsze przedpołudniowych, korzystać z sali posiedzeń Towarzystwa. Ale szczęście trwało nazbyt krótko, bo dwa tygodnie tylko. Gdy powrócił z zimowych wczasów sam prezes, wygnano nas stamtąd. Znaleźliśmy się w pułapce. Uratowało nas to, że swego czasu dziekan Olszewski zarządził aby ławki w skali wykładowej przy ul. Oczuki 3 (Auditorium Pharmaceuticum) miały poziome pulpity. Przewieźliśmy mikroskopy na ul. Oczuki i tam przez 19 lat prowadziliśmy zajęcia i egzaminy. Na Długiej były tylko nasze pracownie badawcze. Trudno sobie wyobrazić, jak uciążliwe było ustawiczne podróżowanie między ul. Długą i Oczuki.

Umilowanym moim zajęciem pozostało prowadzenie wycieczek florystycznych. Wtedy zapominałem na chwilę o naszej biedzie. Poza ogrodami: farmakognostycznym i botanicznym oraz szklarniami Ogrodu Botanicznego odwiedzaliśmy arboreta to w Kórniku pod Poznaniem,

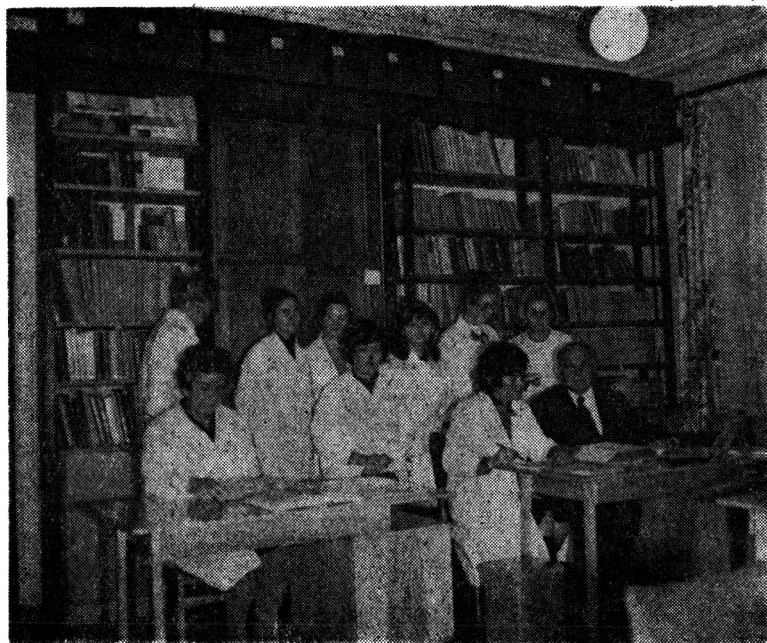
to w Rogowie pod Łodzią, to znów rezerваты przyrody na niżu (Bory Tucholskie, Puszcza Białowieska, Puszcza Biała, Puszcza Kampinoska, Puszcza Jodłowa) i w górach (Pieniny, Babia Góra, Barania Góra). Nie zaniedbywaliśmy plantacji roślin leczniczych: w Kazuniu Polskim pod Warszawą, w Klęce i Plewiskach pod Poznaniem. Na początku dysponowaliśmy 360 godzinami dydaktycznymi, można więc było organizować kilkudniowe nawet wycieczki. Później zredukowano nam zajęcia do 210 godzin. O obecnej liczbie godzin nie będę wspominał, bo mi wstyd.

Przywiezione z wycieczek materiały wymagały dłuższego opracowywania już pod dachem, a tu w Zakładzie ciasnota nie do opisania. Przez 14 lat Zakład dusił się w trzech pokojach. Nie do wiary, że w tych najtrudniejszych warunkach wykonano w Zakładzie kilkadziesiąt prac magisterskich, kilka doktorskich oraz jedną pracę habilitacyjną. Napisaliśmy także tam właśnie na ul. Długiej pierwszy w naszej historii podręcznik akademicki *Botanika Farmaceutyczna*. W ostatnim pięcioleciu pobytu na Długiej stopniowo powiększał się lokal zakładowy: naprzód o jeden pokój, później o dwa pokoiki po Instytucie Leków, wreszcie o trzy duże pokoje na I piętrze po Zakładzie Farmakodynamiki AM. Nie licząc pokoju pomocniczego przy audytorium na Oczki, mieliśmy na koniec 9 pokoiów. Ozdobą dwóch pokoiów parterowych były regały, pięknie zaprojektowane przez inżyniera architekta Jana Furmana. Oprócz regałów były i półki, pnące się pod sufit na wysokość 4,5 m. Nie będę opisywał poszczególnych pokoiów, niech to zrobią za mnie koleżanki, które tam pracowały. Zresztą wiele innych osób pamięta nasz Zakład z tych czasów, nie tak przecież odległych.

6. OKRES V (od 1973)

Okres V w historii Zakładu zasługuje na nazwę nowej ery. W grudniu bowiem 1973 przenieśliśmy się do ostatniej już, wspaniałej, bardzo nowoczesnej siedziby przy ul. Banacha, u zbiegu z Aleją Żwirki i Wigury. Pani prodziekan Mirosława Furmanowa była już wtedy od 1 października 1973 nowym kierownikiem Zakładu po moim odejściu na emeryturę. W piątek 11 stycznia 1974 odbyły się pierwsze ćwiczenia z botaniki farmaceutycznej w ogromnej sali o powierzchni 135 m². Sala jest wyposażona w nowoczesne mikroskopy t.zw. biologiczne o własnym oświetleniu. Każdy student ma do dyspozycji mikroskop i stół do pracy. Pamiętnego dnia 11 stycznia 1974 odwiedził nas w Zakładzie profesor Tadeusz Sulma z Gdańska, 17 stycznia — profesor Andrzej Nespiałk z Wrocławia. Obaj botanicy nie szczędzili nam uznania z powodu sali ćwiczeń oraz pracowni hodowli tkanek, zorganizowanych przez docent M. Furmanową według najlepszych wzorów z Instytutu profesora Streeta w Leicester, gdzie odbywała ona staż zagraniczny. Pod wrażeniem historycznej chwili przemówiłem owego dnia (11 I 74) do zebranych w sali ćwiczeń studentów i uzyskałem ich podpisy w księdze pamiątkowej Zakładu.

Studenci odbywają u nas zajęcia z botaniki farmaceutycznej i biologii. W tych właśnie dwu kierunkach Zakład prowadzi prace badawcze. Do botaniki farmaceutycznej należą takie nasze specjalności jak anatomia taksonomiczna, chemotaksonomia i nowa gałąź wiedzy, tak-



Ryc. 3. Prof. H. Bukowiecki i doc. Mirosława Furmanowa z zespołem w dawnej siedzibie przy ul. Długiej 16; a) sala biblioteczna; b) pokój profcsorski

7. ZAKOŃCZENIE

Artykuł ten jest przydługi. Ale co począć z historią 55 lat? Najprościej byłoby zaprosić Łaskawych Czytelników do obejrzenia 11 tomów prac zakładowych i powiedzieć tylko jedno słowo: „Patrzcie!”. Tak postąpił pewien matematyk w starożytności, dając pod własnym rozwiązaniem twierdzenia Pitagorasa jedno tylko słowo: „Patrz!”.

Bardzo wielu spraw nie poruszyłem w wspomnieniach. Nie podkreśliłem tego, że rozdział botaniki farmaceutycznej od farmakognozji, postulowany w Warszawie już od 1930, nastąpił dopiero po wojnie, w 1945 dzięki światłym organizatorom nauki w Polsce Ludowej.

Nie powiedziałem także ani słowa o Zakładzie Farmakognozji, ale to temat osobny, do podjęcia przez farmakognozistów: profesorów Jakuba Derynga i Halinę Strzelecką. Nie wymieniłem osób, które przelotnie tylko były związane z Zakładem jak Adam Czartkowski przed wojną i Tadeusz Gorczyński po wojnie. Nie wspomniałem ani słówkiem o młodszych stopniem nauczycielach akademickich: adiunktach i asystentach. Bardzo tego żałuję, ale nie mogłem postąpić inaczej. Zresztą rzecz jest do naprawienia, gdyż są źródła drukowane i materiały archiwalne.

Jeżeli artykuł ma tyle braków, to czymże jest? Wspomnieniem, poświęconym pamięci moich nauczycieli; podziękowaniem Polskiemu Towarzystwu Farmaceutycznemu za 19 lat gościny w jego murach przy ul. Długiej 16; wreszcie laurką dla pani Mirosławy Furmanowej z okazji Jej 25 lecia w Zakładzie.

Artykuł ten powstał z referatu, który był wygłoszony 29 stycznia 1977 w Zakładzie Botaniki Farmaceutycznej AM wobec całego Wydziału Farmaceutycznego i kolegów, przybyłych spoza Warszawy. Zakończyłem go słowami: „Jestem szczęśliwy, że mogłem przemawiać w sali ćwiczeń tak pięknej jak nasza. Salę tę chciałbym przyrównać do maszynowni na okręcie. Niechże nasz okręt pod sterem pani prodziekan w szczęśliwą płynie przyszłość!”.